

## Niežnośna lepkość bytu, fragment

*Każda osoba, a także zwierzę lub roślina posiada swoje własne pole chi, dążące do stanu stabilności, równowagi, zarówno wewnątrz organizmu, jak i w jego relacjach ze światem zewnętrznym. Utrata tej własności prowadzi do powstania wszelkich chorób, śmierci i rozkładu. Aby przywrócić zdrowie, trzeba przywrócić przepływ energii.*

Mistrz Liu

Był koniec września. Rżysko za łąką, na skraju której mieszkali od dwóch tygodni, miało nad ranem, tuż po świcie, gdy tylko rozsunęła się najgęstsza mgła kolor rdzawo-fioletowy. Podobną barwę przybierała też po chwili skóra na rękach Łukasza, gdy ostrożnie wychylał się z czatowni, by sprawdzić kierunek wiatru i stan nieba, upewnić się czy teleobiektywy są dobrze ustawione, poprawić naruszone w nocy maskowanie i szybko, pobieżnie rozejrzeć się po okolicy. Nie przypuszczał, że o tej porze roku na Jeziorach może być aż tak zimno. Zimno i mokro. Oczywiście należało zabrać ciepłe rękawiczki, grubszą czapkę, spakować lepszy śpiwór, solidniejsze buty. Należało to, należało tamto. Czyż Kłós nie mówił mu wyraźnie? A teraz Kłós śpi w ich namiocie-czatowni, nie czując chłodu ani wilgoci, i nie będzie czuł, nic a nic, gdy wstanie za godzinę (dzisiaj przecież nie jego a Łukasza poranny dyżur) i powie: „Jak się ma mój dzielny młody towarzysz?”. A potem doda jak zawsze: „Zmarzłeś, brachu? Tylko patrzeć i przyjdzie ponowa”. Ale Kłós goni za ptakiem po świetle od dziesięciu już lat, więc wie jak przygotować się na jesienne zlotowisko. Na wczesnowiosenny przylot, na majowe gody, na późniejsze gniazdowanie, na letnie żerowanie.

Łukasz wsunął się do namiotu i wpełzł z powrotem do śpiwora. Herbatę zagotuje za chwilę, teraz jeszcze trochę poleży. Poleży i pomyśli. Pomyśli o nim. Jak co rano. Jak co wieczór. Jak każdego dnia, godzina po godzinie. Obsesyjnie, kompulsywnie. Może spotka go właśnie dzisiaj. „Oj głupiś, ty brachu, głupi. Nawet jeśli jest jak mówisz – a to musi być kosmiczna bzdura – czy ty wiesz, ile ich tu jest? Kilkaset, może i ponad tysiąc. A takich miejsc, gdzie zbierają się przed odlotem, jest u nas ze dwadzieścia. Razem...”. I cóż z tego? Statystyka, liczby. Łukasz przecież i tak czuje, że spotka go właśnie tutaj. Nie czuje – wie. Może już dzisiaj? I jak to się potoczy? Jeśli on się nie wystraszy – a przecież nie powinien – popatrzą na siebie, Łukasz podniesie rękę, on może skinie głową, jak zwykł to czynić dawniej. A jeśli zaraz odwróci się i zniknie? I nic więcej? I tylko tyle?

Z mokradła dobiegło pokrzykiwanie. Narastało stopniowo, ptaki budziły się powoli, niespiesznie, jakby niechętnie. Po jakimś czasie głosy w ostępie połączyły się, tworząc

niezbyt sprawną orkiestrę, i do uszu Łukasza dobiegła kakofonia metalicznego trąbienia, terkotania, dudnienia, gruchania, kruczenia; w końcu ustalono repertuar i tonację, bo nagle, w jednej chwili odezwał się z oddali jednobrzmiący przenikliwy klangor tysiąca gardeł. Zimne słońce oparło się o burtę namiotu. Łukasz nakrył głowę śpiworem.

Filipa Egerty'ego poznał jeszcze w czasie studiów, ale nie wyrobił sobie o Profesorze własnego zdania. A po co? Wiadomo – jedna z gwiazd na firmamencie Uniwersytetu, jedna z najjaśniejszych, wykłady ciekawe, intrygujące, sala audytoryjna zawsze wypełniona po brzegi, co chwila nowe, nieznane (również: młodszym i starszym słuchaczom) pojęcia, kontrowersyjne, lecz jedynie słuszne (byli pewni) idee, mnóstwo intelektualnych fajerwerków, wiele cytatów, nawiązań, odniesień (jakże oczywistych, gdy się zastanowić chwilę), karkołomnych, lecz trafnych (to się czuło) porównań. Wielobarwna tkanina filozofii-socjologii-psychologii. Barwna, lecz o przejrzystym i czytelnym wzorze. Moderna i postmoderna, New Age, nowa gnoza. Formalizm, nowa krytyka, neofenomenolodzy, analitycy, lingwiści, pragmatycy, strukturalizm i poststrukturalizm, dekonstrukcja, feminizm i antifeminizm, psychoanaliza i jej meandry, archetypy, gestalt, psychologia głębi, marksizm, neomarksizm i antymarksizm (we wszystkich postaciach), neohistoryzm (w opozycji do historyzmu) i koniec Historii, teoria postkolonialna, dyskursy mniejszości (i mniejszej większości), antropocentryzm, teo- i antyteocentryzm, proces. Semantyka, syntaktyka, znaczące i znaczone. Pastiche, palimpsesty, symulakry, gry i zabawy, kolaże, koniec narracji i narracja końca. Barthes, Bataille, Baudrillard, Bauman, Cortazar, Derrida, Deleuze, Eliade, Foucault, Gellner, Habermas, Joyce, Kristeva, Lacan, Lyotard, Ricoeur, Rorty, de Saussure, Todorov i inni...

Blask od katedry oślepił kobiety, przyprawiał je o drżenie, moc argumentów porażała, zniewalała wszystkich. Zawsze pod pergolą akolitów, stale z wianuszkami asystentów, w wawrzynie wyznawców, a przynajmniej wśród szczerze oddanych i ciągle gotowych. Na wykładach, seminariach, posiedzeniach: Rady Wydziału, Rady Instytutu, Senatu, Towarzystwa, jednego, drugiego, obronach doktoratów i habilitacji, w czasie prywatnych sporów i publicznych dysput. Nigdy sam, na korytarzu, w uczelnianych salach, na spacerze w uniwersyteckim botanicznym ogrodzie, na przechadzce w kampusowym parku, w stołówce, na kieliszku koniaku w klubie profesorskim, w szatni, na parkingu przed Rektorem. Utopiony w spojrzeniach, zanurzony w westchnieniach. Jasność dnia znajdowała naturalną, wdzięczną kontynuację w niemniej rozświetlonych wieczorach i nocach: w telewizji, gdzie prowadził cotygodniową pogadankę na temat Współczesności i (po)Nowoczesności i gdzie

zapraszał do dyskusji innych luminarzy, swoich (licznych) sympatyków i adwersarzy (nielicznych); w zaciszu radiowego studia, gdzie udzielał częstych wywiadów o tym i o owym – o Rzeczywistości prawdziwej i (niemniej prawdziwej) Rzeczywistości Wirtualnej, a także dawał cenne wskazówki „jak żyć godnie, prawdziwie i pełnie”, bo skoro „ludzie nauki w służbie społeczeństwu” i skoro on już tu jest...; w wydawnictwie Alfa (które akurat wznowiło jego wczesną *Pochwałę Cywilizacji*) i wydawnictwie Beta (które właśnie ogłosiło dużo późniejszą *Cywilizacji Krytykę*), w Tygodniku, Miesięczniku, Kwartalniku, Roczniku, w Przeglądzie, w Antologii, w Zbiorze, na Okładce, w Przedmowie, w Posłowiu. Uśmiechnięty, rozluźniony, swobodny. Zawsze, zawsze. Wszędzie.

Gdy więc przyszło Łukaszowi wybierać opiekuna doktoranckich studiów, nie wahał się długo. Nie mieć o Filipie Egertym własnego, odrębnego zdania znaczyło mieć Prawidłowe Zdanie Ogółu, znaczyło w tym przypadku posiadać to, co Uniwersytet oferuje najlepszemu takim jak on, Łukasz, akademicką *crème de la crème*. Ile wart na wąskiej, krętej, wyboistej ścieżce właściwy, pewny przewodnik, człowiek znający wszystkie przejścia, obejścia, zejścia i podejścia, taki, który pokaże tę najlepszą drogę, najchętniej *directissime*, to wiedział przecież każdy, więc gdy Profesor łagodnie skinął głową, radość Łukasza nie znała granic i nie było w tym stwierdzeniu najmniejszej przesady.

Minęły dwa lata, rozpoczął się rok trzeci. Dysertacja była na ukończeniu (imponujące tempo); uczeń może jeszcze nie doganiał mistrza, ale szedł jego śladami i nie był daleko. Zawiązała się między nimi nic ostrożnej sympatii, choć bardzo uważali obaj, by nie przekroczyć granicy, tej subtelnej linii, za którą musieliby powiedzieć coś więcej, a co mogłoby postrzepić delikatną tkaninę. Zaczął się więc Łukasz rok trzeci, gdy nagle gruchnęła wieść, że coś złego stało się z Egertym.

Było kilka, nawet kilkanaście wersji; dzieje się tak zwykle, gdy rzecz dotyczy osoby popularnej, znanej, a sprawa jest bulwersująca, trudna do pojęcia. A więc: „na wykładzie dla drugiego roku, nie, na pewno na seminarium dyplomowym, co też pan opowiada, kolego, ta zagadkowa historia wydarzyła się na konwersatorium międzywydziałowym, jakie organizujemy co miesiąc. Tak właśnie: mówił, mówił, mówił i nagle... mówić przestał. Nie, nie, wszedł na salę, popatrzył na słuchaczy jakoś tak bezradnie i już się nie odezwał więcej. Ależ skąd, w żadnym wypadku, siedział przy katedrze, słuchał jakiegoś delikwenta, skrzywił się, jakby z niesmakiem, nawet z obrzydzeniem, oparł rękami o blat stołu i tak już pozostał”. „Wykładał myśl Husserla, po prostu wziął się w nawias; omawiał, czym jest tekst, objaśniał dekonstrukcję, no i zdekonstruował się skutecznie; moim zdaniem to silna prostracja; wyjaśniał pojęcie *proprium*, to dało mu do myślenia; dyskutowali sens ‘płynnego życia’, czy

ten kontekst was nie zastanawia?; *limy world*, jaki świat, taki też i człowiek, *le visqueux*, lepki; a może, może to kwestia smaku? tak, smaku?; zwyczajnie – słuchał referatu jakiegoś bałwana, ile głupstw można przetrwać w ciągu jednego życia?”. Prawda była taka (tu słowo *prawda* ma wartość pragmatyczną, z punktu ówczesnej sytuacji Profesora cóż nas obchodzi inny sens tego pojemnego słowa?) – prowadząc zajęcia profesor dr Filip P. Egerty nieoczekiwanie zamilkł. Mówił, nagle przestał. I potem już konsekwentnie milczał.

„Afazja? Odruchy w normie. Nie ma uszkodzeń w mózgu ani w rdzeniu. Podłoże neurologiczne raczej bym wykluczył. I laryngologiczne też. Czy sugeruje pan jakąś postać schizofrenii? Raczej nie, skądże. Niech się wypowie psychiatra. Więc się wypowiadam. Zwróćcie uwagę, że nie ma katatonii. Czy on ma rodzinę? Ich opinia byłaby wskazówką. Miał żonę, jest z synem w Kanadzie, nie mamy z nią kontaktu. I tak by nic nie dało, pamiętam kobietę, jej niechęć do męża (eksmeża) była przysłowiowa. Co mówią koledzy, studenci, najbliżsi współpracownicy? Z każdym porozmawiaj. Może to jego wybór, trzeba uszanować. Czy pani wie, że on nie ma żadnych bliskich osób? Kochanka, metresa? Były, a jakże, niejedna, żadnych stałych związków. On patrzy teraz tak łagodnie, to nie jest ten sam Egerty. Czy to jeszcze jest Egerty? Dajcie mu wszyscy święty spokój. Nie chce i nie mówi. Kropka. Nie rozmawia ze światem, ale czy jeszcze rozmawia ze sobą? „Milcz, a gdy mówisz nie zapomnij potem wyplukać sobie ust”. Ach te aforyzmy, czy coś z nich wynika? Na razie niech idzie na rentę, czasową, pieniędzy mu nie braknie, mało to publikował, wykladał? Na pewno ma oszczędności. Trzeba w sądzie ustanowić pełnomocnika. Pilnie. A ja mu załatwię gospozię – ugotuje, posprząta, popierze. Będzie sobie chodził na spacer, patrzył na drzewa, chmury, może dojdzie do siebie. To wielka strata dla naszej nauki, dla Uniwersytetu, panie i panowie. Trzeba zrobić wszystko, by przywrócić go życiu, odzyskać go dla nas. Trzeba mu jakoś pomóc. Kogo proponujecie? No, niechże się ktoś zgłosi, wszyscy biegaliście za nim. Pan także biegał, w pierwszym szeregu, kolego docencie. On ma nas wszystkich od lat w głębokim poważaniu. Nie, szanowni państwo, tak nie można. Miał, zdaje się doktoranta, który go nawet lubił, Łukasza... Osoba lubiąca Egerty'ego? *Contradictio in adiectio*, drogi przyjacielu. Zapewne, zapewne, ale spróbować trzeba, cóż nam pozostało? Ma ktoś jego numer telefonu? Ale czy to jeszcze jest Egerty?”.

Na polu pojawiła się dziś gromada innych ptaków, co wprawiło Kłosa w osłupienie. Szeptał Łukaszowi do ucha: „Jak już dobrze wiesz, mają zwyczaj żerować zawsze w tym samym miejscu, chyba że coś je spłoszy. My powodu do strachu raczej im nie dawaliśmy, więc powinny zjawić się znów te same osobniki. A tu nowi goście. Ciekawe, czy nasi starzy

znajomi są na sąsiednim polu. W południe, gdy wszystkie odlecą w moczary, by zakosztować sjęsty, przejdziemy groblą do namiotu za olsą. Wygląda na to, że dziś wielka zmiana miejsc i może nareszcie go spotkasz. Bo tu go chyba nie ma. Patrzyłeś uważnie w lornetkę? Nie ma? A ja po raz kolejny zapytam, jak ty go zamierzasz rozpoznać? Sądzisz, że będzie inny niż one wszystkie? Inny, czyli jaki? Zielony? A jeśli to będzie on (co za kosmiczna bzdura, już dałem się wciągnąć w twoje bajdurzenie), co zrobić, by podejść blisko? By z nim zamienić dwa słowa? One są ostrożne, płochliwe, nie dopuszczają człowieka bliżej niż na dwieście-trzysta metrów, chyba, że to jest rolnik, zajęty orką lub siewem. Zmienisz się może w farmera? Nie sądzę także, byś spotkał samotnie żerującego ptaka, czegoś takiego jeszcze nie widziałem, to bardzo towarzyskie stworzenia. Czekaj, zrobię parę zdjęć, światło jest teraz wspaniałe”. Zwolnił parę razy migawkę. Łukasz spojrział w wizjer drugiego aparatu. Szły teraz w ich kierunku tyralierą, podnosząc wysoko długie, patykowate nogi. Co chwila przystawały, pochylały się nisko, wydłubując ze ścierniska larwy, pędraki, nasiona. Prostowały się, wyciągały smukłe szyje, odchylały głowy do tyłu, rozkładając szaropióre skrzydła. Często nieruchomiały, patrząc uważnie wokoło, ich czerwone czuby błyszczały w słońcu i zdawało się Łukaszowi, że widzi w ich oczach jakąś ironię, kpinę. „Wiedzą, że tu siedzimy, wiedzą, że na coś czekamy”.

Słońce stanęło na niebie w swym najwyższym tego dnia punkcie. Ptaki ustawiały się przodem do wiatru, brały krótki rozbieg, biły szybko skrzydłami i wzlatywały nad drzewa. Uformowały klucz i powędrowały zgodnie na krótki odpoczynek. „Wróć za godzinę lub dwie. Mamy więc trochę czasu, by zmienić kwaterę”. Gdzieś blisko odezwał się derkacz. „Wkrótce wyruszamy, brachu, ale najpierw wrzucimy coś na ruszt. Ssie mnie już w brzuchu mocno”.

...

Ryszard Lenc